Rozmowa z Piotrem Bakalem – człowiekiem wszechstronnym: poetą, bardem, tłumaczem, dziennikarzem, dyrektorem Międzynarodowego Festiwalu Bardów OPPA w Warszawie oraz prezesem Stowarzyszenia Literacko-Muzycznego „Ballada", przeprowadzona przez Piotra Szauera.

Pamięta Pan w jakich okolicznościach zrodziła się idea OPPA - Międzynarodowego Festiwalu Bardów?
To był 1977 rok. W świeżo reaktywowanym wtedy klubie „Hybrydy" prowadziłem Studio Piosenki. Pewną wyraźnie wybijającą się wówczas grupę piosenkarzy studenckich stanowili ludzie, którzy sami sobie pisali i teksty i muzykę – wykonywali własne utwory. Wpadłem więc na pomysł, by uhonorować ich specjalnym festiwalem. Kierownictwu „Hybryd" to się spodobało i w następnym roku ten Festiwal po raz pierwszy ujrzał światło dzienne. Od tamtej pory, mimo dwóch przerw, odbywa się do dziś. Ostatnia edycja miała numer 26.

Kto ma szansę zostać laureatem tego Festiwalu?

Laureatami najczęściej zostają osoby, które dobrze piszą teksty. Oczywiście muzyka i wykonanie również mają bardzo duże znaczenie. Jednak na pewno nie można wygrać OPPA, jeśli się dobrze śpiewa, napisze dobrą muzykę, ale teksty ma się słabe… Znalezienie się w gronie laureatów tego festiwalu jest nobilitujące i, jak historia pokazuje, stanowi niejednokrotnie początek kariery artystycznej. Wygranie OPPA to duży prestiż i ważny punkt w portfolio barda.

Jak przez lata zmieniała się OPPA i czy zauważa Pan zmiany w postawie śpiewających autorów piosenek?

Nie. Właśnie o to chodzi, że istota barda polega na tym, że opisuje on siebie i świat poprzez utwór literacko-muzyczny – chce wyrazić samego siebie i to, co go boli, cieszy, co go obchodzi poprzez piosenkę. Oczywiście w poprzedniej epoce bardzo dużo było piosenek politycznych, zaangażowanych – taka była rzeczywistość wokół nas i wymagało to pisania na tematy polityczne, społeczne. Dziś jest inaczej, jednak nadal piosenka autorska nie jest wolna od tych tematów. Po prostu piszemy o tym, o czym napisać musimy…

Ale dostrzega Pan chyba pewną znaczącą różnicę między bardem Jackiem Kaczmarskim a laureatem OPPA sprzed roku – Mateuszem Rulskim?

W owych czasach konieczne było, aby wyrazić swój stosunek do otaczającej rzeczywistości polityczno-społecznej. Notabene Jacek Kaczmarski nigdy nie wygrał OPPA. Ale ci, którzy wygrywają ją dzisiaj, są w jakimś sensie podobni, bo też dają wyraz swojemu stosunkowi do tego, co nas otacza i co jest w nich samych – siedzi w nich i ich nurtuje. Ważne, żeby było to wyrażone za pomocą dobrej poezji, dobrego tekstu. Wreszcie, by było wiarygodne, żeby słuchacz czuł, że nie ma w tym żadnego zafałszowania.

Jaka jest współczesna OPPA?

Dawniej trwała 3 dni, teraz od wielu lat jest dziewięciodniowa. Dawniej odbywała się w jednym miejscu, tj. w klubie „Hybrydy". Od 1997 r. odbywa w różnych punktach Warszawy – w domach kultury, klubach, salach teatralnych. Od kilku lat najważniejsze koncerty mają miejsce w Studiu Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego. Od ubiegłego roku miejscem koncertów OPPA jest także działający od niedawna Centralny Basen Artystyczny. Oczywiście nadal jedną z najważniejszych części OPPA jest konkurs. Odbywają się też koncerty międzynarodowe oraz tradycyjny koncert premier, gdzie śpiewamy swoje nowe, wcześniej nie prezentowane piosenki, a publiczność wybiera najlepszą z nich. Do najnowszej tradycji OPPA można już zapisać koncert, w którym polscy bardowie interpretują pieśni światowej sławy bardów, jak: Leonard Cohen, Tom Waits, Bob Dylan, Georges Brassens, Jacques Brel, Bułat Okudżawa, Włodzimierz Wysocki…itd. w tłumaczeniach na polski.

Porozmawiajmy teraz jeszcze chwilę o samym konkursie, który jest wieloetapowy. Czemu to ma służyć?

Formuła jest taka, że najpierw kandydaci przysyłają do nas zgłoszenia, w których znajdują się teksty oraz nagrania prezentowanych piosenek. Rada Artystyczna złożona najczęściej z pięciu osób ocenia te propozycje i wybiera najlepsze, które następnie zostają zaprezentowane już przed publicznością w koncercie półfinałowym. W czasie tego koncertu Rada Artystyczna wybiera uczestników finału, w którym wystąpić mogą również artyści zaproszeni przez nas bez wymienionego tu procesu eliminacyjnego, a zakwalifikowani na podstawie znajomości ich twórczości z poprzednich edycji OPPA lub innych festiwali. Wieloetapowość eliminacji ma służyć temu, żeby wybrać rzeczywiście najlepszych z najlepszych. Być może należałoby się zastanowić, czy półfinału nie zrobić dzień przed finałem, albo wrócić do poprzedniej koncepcji, kiedy to półfinał był 3 tygodnie wcześniej. Wtedy ktoś, kto wie, że będzie w finale, ma trochę czasu na jak najlepsze przygotowanie się. To są kwestie do przemyślenia. Ważne jest, aby uczestnikom było jak najwygodniej, aby stworzyć im komfortowe warunki do prezentacji ich twórczości.

W jaki sposób wspieracie Państwo laureatów Festiwalu?

To jest bardzo ważne. Oprócz tego, że laureaci „Złotej Piątki" otrzymują nagrody rzeczowe w postaci sprzętu elektronicznego przydatnego w zawodzie, zdobywca głównej nagrody Grand Prix im. Jonasza Kofty wygrywa dofinansowanie nagrania płyty – opłacamy takiej osobie częściowo koszty studia nagrań oraz zobowiązujemy się wytłoczyć 1200 egzemplarzy tej płyty, z czego tysiąc dostaje laureat. Podejmujemy jeszcze szereg działań promocyjnych – oczywiście na miarę naszych możliwości. Często zapraszamy laureatów OPPA do udziału w innych imprezach organizowanych przez Stowarzyszenie Ballada.

Porozmawiajmy teraz chwilę o Stowarzyszeniu Literacko-Muzycznym „Ballada", którego jest Pan prezesem? Jaka jest rola tej organizacji?

Stowarzyszenie to zajmuje się popieraniem, rozwijaniem i upowszechnianiem artystycznej twórczości balladowej, a szczególnie właśnie piosenki autorskiej, poezji śpiewanej, piosenki literackiej, czasem kabaretowej. Od 1986 roku działało ono jako klub, a w 1995 roku zostało formalnie zarejestrowane jako stowarzyszenie posiadające osobowość prawną. Formy naszego działania są różne. Oczywiście najwięcej czasu i wysiłku pochłania nam organizacja OPPA. Poza tym staramy się organizować cykliczne koncerty. W tym i w zeszłym roku cykl takich koncertów zatytułowany „Poznaj Bardów" miał miejsce w Poznaniu, wcześniej zaś w Warszawie odbył się podobny cykl – „Galeria Śpiewających Poetów", który w ubiegłym roku kontynuowaliśmy w Forcie Sokolnickiego.

Odłóżmy teraz na bok Pańską działalność stowarzyszeniową i porozmawiajmy o Piotrze Bakalu – poecie i bardzie. Czy te wszystkie obowiązki, o których do tej pory rozmawialiśmy nie zajmują Pana do tego stopnia, że zaczyna brakować Panu czasu na aktywność twórczą i sceniczną? Jest Pan dziś bardziej animatorem ruchu bardowskiego czy wciąż śpiewającym poetą?

Problem tkwi w tym, że zbyt dużo rzeczy mnie interesuje i sprawia frajdę. Gdybym się skoncentrował tylko na pisaniu i śpiewaniu byłbym dziś – jako artysta – o wiele, wiele dalej. W pełni zdaję sobie z tego sprawę. Może powinienem tak zrobić. Ale mam olbrzymią satysfakcję, gdy uda mi się stworzyć coś z niczego, tzn. wymyślić od początku np. festiwal, cykl koncertów, warsztaty piosenkarskie i doprowadzić do realizacji pomysłu. To też jest twórczość, tylko innego rodzaju.
Drugą sprawą jest to, że chcąc zarabiać śpiewaniem, trzeba zbyt daleko pójść w masowość. Nie mówię, że w ogóle nie należy, ale trzeba wiedzieć, gdzie jest ta cienka granica poza którą zaczyna się już czysta komercja. Polski bard niejako z definicji nie jest komercyjny, bo przemawia do stosunkowo niewielkiej grupy odbiorców i to nie tylko dlatego, że nie ma ku temu możliwości (choćby ze względu na bagatelizowanie roli bardów w kulturze przez polskie media), ale też dlatego, że możliwości tzw. masowego odbiorcy są tym skromniejsze, im bardziej ów odbiorca jest masowy. Ciekawe, że w innych krajach jakoś może być inaczej. Przykładem jest Francja, Rosja, Czechy, nawet Niemcy. No więc, jeśli polski bard nie chce iść na ustępstwa związane z przystosowaniem się do gustu masowego odbiorcy, musi jeszcze mieć jakieś inne zajęcie zarobkowe. Bardzo niewielu moich kolegów żyje ze śpiewania. Zazwyczaj pracują gdzieś na

etatach, najczęściej związanych z szeroko rozumianą sferą kultury. Moja działalność organizatorska, menedżerska, prócz poczucia satysfakcji i przydatności, dostarcza mi również środków do życia.
Poza tym „poetą się nie jest – poetą się bywa". Ja wciąż bywam poetą i z tego czerpię wielką psychiczną i metafizyczną radość... A to, że piszę mało... Wolę pisać, kiedy naprawdę muszę, niż tylko po to, aby napisać coś nowego.

Wróćmy na chwilę do Pana artystycznych początków. Co było pierwsze – wiersz czy piosenka?

Zdecydowanie wiersz. Zacząłem rymować już w szkole podstawowej, a od 1971 roku, czyli od drugiej klasy liceum na dobre połknąłem bakcyla... Ale bardzo szybko do niektórych wierszy zaczęły powstawać melodie. Swoje tzw. juvenilia wysyłałem do różnych pism literackich. Zazwyczaj wracały z adnotacją „dziękujemy, ale nie skorzystamy..." Bardzo ważnym momentem stało się moje spotkanie z poetą, Mieczysławem Jastrunem. Dzięki koleżance z klasy, której mama jest krytykiem literackim, pani Helenie Zaworskiej, Mieczysław Jastrun zgodził się przeczytać moje wiersze. W domu koleżanki doszło do spotkania, w czasie którego dowiedziałem się, że powinienem kontynuować moje próby poetyckie. Oczywiście skrytykował bardzo konkretnie i rzeczowo moje wypociny, ale koniec końców zachęcił mnie do pisania. I dzisiaj myślę, że gdyby nie ta zachęta, to może bym sobie w jakimś momencie odpuścił... Chociaż nie wiadomo, bo potem przyszedł wrzesień 1976 roku, kiedy to miesięcznik „Poezja" (nr 9/76) wydrukował trzy moje wiersze. To było jak pasowanie na poetę. Zwłaszcza, że w tym zeszycie „Poezji" znalazłem się w całkiem niezłym towarzystwie...

Wyjście na scenę miało chyba ułatwić kontakt z potencjalnymi odbiorcami Pańskiej poezji, przyspieszyć jej odbiór?

Oczywiście! To było bardzo kuszące, móc niemal natychmiast po napisaniu wiersza zaprezentować go szerszej publiczności w formie piosenki, czy też recytacji. W czasie swojego recitalu wielokrotnie recytowałem wiersze, które w zamyśle nie miały lub ze względu na formę nie mogły być piosenkami, a które pasowały do dramaturgii koncertu. Tzw. zwykli, czyli nieśpiewający poeci nie mieli takiej możliwości. Wieczorów poezji polegających na recytacjach było znaczniej mniej niż koncertów i przychodziło na nie mniej ludzi niż na nasze koncerty. A trzeba zauważyć, że wówczas, tj. w latach 70. i 80. popularność bardów była znacznie większa niż dziś. Frekwencja na koncertach była czasami niesłychanie duża. Nie nazywało się to wtedy jeszcze koncertami bardów. Królował bardzo pojemny termin „piosenka studencka", w którym mieściło się niemal wszystko: od piosenki rajdowej, turystycznej, kabaretowej, przez poezję śpiewaną do piosenki autorskiej, której specjalną odmianą są pieśni bardów. Nasze koncerty przyciągały publiczność z wielu powodów, również pozaartystycznych: odtrutka na bylejakość i sztampowość oficjalnej rozrywki, powiew wolnej myśli, głód aluzji politycznej, chęć zamanifestowania swojej obecności we wspólnocie ludzi odważnych i myślących. Rzecz paradoksalna: za komuny nie było nas w mediach i dziś też nas tam nie ma – cóż z tego, że z zupełnie innych powodów... A może nie do końca innych...

Dlaczego w 1987 roku postanowił Pan opuścić Polskę i wyjechać do Paryża? Jak wspomina Pan okres emigracji?

W wieku 32 lat doszedłem do wniosku, że jeśli jeszcze chcę zdążyć zrobić coś ze swoim życiem, to jest to ostatni dzwonek. Myślę, że to jest dobry moment do podejmowania trudnych życiowych decyzji. W Polsce komunistycznej panował wówczas kompletny marazm. Nic nie zapowiadało zmian, które się miały wydarzyć za dwa lata. Można było zostać i, jeśli się nie chciało wchodzić w układy z komuną, gnić tu dalej bez szans na rozwój. Albo wchodzić z nią w układy i robić wątpliwą moralnie karierę, zapominając o swojej niezależności. Taka alternatywa mi nie odpowiadała. Jak wiele osób w moim wieku, postanowiłem skorzystać z pierwszej nadarzającej się okazji i wyjechać. Wyjechać w nieznane, ale do wolnego świata i tam próbować budować swoje życie na nowo. Okazja wkrótce się objawiła dzięki mojemu zainteresowaniu piosenką francuską. Pojechaliśmy we trzech: Stanisław Waszak, Mariusz Zadura i ja na zaproszenie stowarzyszenia France-Pologne, zaśpiewać w części artystycznej na ich dorocznym kongresie. Całą sprawę zorganizowała nieodżałowanej pamięci Pani Irena Majewska z Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej. Po kongresie zamiast wrócić do Polski przedłużyliśmy wizy. Dwaj koledzy wkrótce wrócili, a ja, dzięki pomocy wielu

życzliwych ludzi, uzyskałem pozwolenie na stały pobyt.
Okres emigracji wspominam przede wszystkim, jako czas nieprawdopodobnych napięć psychicznych, falowania nastrojów od depresji do euforii, wielkich upokorzeń w walce o przetrwanie, ale też doświadczania przyjaźni i konkretnej pomocy. To wielka satysfakcja, że po jakimś czasie mogłem zaistnieć we Francji jako artysta prezentujący swoją twórczość w większej mierze publiczności francuskiej niż polonijnej. Chociaż było mi czasami bardzo ciężko, nie żałuję...

W jaki sposób owa emigracja wpłynęła na Pańską postawę jako artysty i organizatora?

Te sześć lat spędzone we Francji naprawdę nauczyło mnie życia i to w wielu jego aspektach. Od spraw czysto osobistych, poprzez bytowe, do artystycznych i organizatorskich. Jako człowiek aktywny bardzo szybko znalazłem się w środowisku osób muzykujących, śpiewających, piszących wiersze. Zainspirowałem francuskich kolegów do założenia stowarzyszenia promującego piosenkę autorską i zorganizowania międzynarodowego festiwalu. Tak się wkrótce stało. Przez dwa lata byłem współorganizatorem festiwalu „Croche-Pied" w Châteauroux w centralnej Francji. Dzięki temu poznałem wielu francuskich bardów. Szczególnie zaprzyjaźniłem się z dwoma z nich: z Philippem Boischot i z Georgesem Péala, z którymi wkrótce zaczęliśmy razem koncertować. Ten okres wspominam szczególnie ciepło. Wraz z nimi wystąpiłem m.in. w bardzo znanym, dziś powiedzielibyśmy „kultowym" muzycznym bistro „Au Limonaire" w Paryżu.
Doświadczenia zdobyte we Francji od razu zaczęły procentować po powrocie do Polski. Tym bardziej, że w tzw. międzyczasie zmienił się tutaj ustrój. Jak wielu moich kolegów w owym czasie, rzuciłem się w wir robienia interesów, zupełnie nie związanych z działalnością artystyczną. Po dwóch latach doszedłem jednak do wniosku, że to jest kierunek mało rozwijający intelektualnie i że nad robienie fortuny przedkładam satysfakcję czerpaną z twórczości i aktywności artystycznej. To było w 1995 roku. Postanowiłem wówczas za namową wielu osób wskrzesić Ogólnopolski Przegląd Piosenki Autorskiej – OPPA. Zarejestrowaliśmy Stowarzyszenie Literacko Muzyczne „Ballada", którego głównym celem było zorganizowanie OPPA. Współpracując początkowo z Ośrodkiem Kultury Ochoty, a potem przechodząc do całkowitej samodzielności udało mi się zorganizować po powrocie z Francji 12 edycji OPPA i mam nadzieję, że na tym nie koniec.

Zarówno w Polsce, jak i we Francji współpracował Pan z radiem jako autor audycji. Publikował Pan również swoje teksty oraz recenzje w kilku periodykach, wreszcie współtworzył programy telewizyjne. Czuje się Pan dziennikarzem?

Był taki okres, że czułem się nim bardziej niż dziś. To bardzo ciekawe zajęcie. Bardzo lubiłem robić audycje w Rozgłośni Harcerskiej, potem w Trójce, potem w Radiu Solidarność w Paryżu, potem w Polskim Radiu Bis, wreszcie w Jedynce. Brakuje mi radiowego kontaktu ze słuchaczem. Mam nawet kilka pomysłów na oryginalną audycję, którą chcę zaskoczyć...
Żałuję, że dziś nie ma takiego pisma jak kiedyś „ITD.". To było pismo młodej inteligencji. Pisywałem tam artykuły związane z „piosenką studencką", publikowałem wywiady z najważniejszymi jej postaciami, m.in. Janem Wołkiem, Andrzejem Sikorowskim i Wojtkiem Bellonem. Ten ostatni zrobiłem na miesiąc przed jego śmiercią i okazał się ostatnim wywiadem Wojtka. Dziś dla wielu osób ten wywiad jest źródłem nieocenionych informacji o poglądach Wojtka. Jest wielokrotnie cytowany, a jego fragment został umieszczony w wersji dźwiękowej na jednej z płyt Starego Dobrego Małżeństwa. I to właśnie w dziennikarstwie mnie pociąga, że mogę przyczynić się do uwiecznienia czegoś, co jest lub może w przyszłości okazać się niezwykle ważne dla wielu ludzi.

Trzydzieści lat działalności artystycznej i zaledwie dwa autorskie wydawnictwa muzyczne Piotra Bakala na rynku? Z czego to wynika i czy sympatycy Pana twórczości doczekają się w najbliższym czasie kolejnej Pańskiej płyty?

Tak naprawdę, to trzydzieści dwa lata już minęły od mojego debiutu na warszawskim Jarmarku Piosenki w Riwierze. To było chyba 3 lub 4 grudnia 1976 roku. Tego samego dnia i w tej samej imprezie debiutował Jacek Kaczmarski ze swoją wersją „Obławy". Od razu nawiązaliśmy znajomość. Byłem u niego w domu. Nauczyłem się „Obławy" i Jacek

zgodził się, bym ją wykonywał na koncertach, co też od czasu do czasu robiłem z powodzeniem. Już na lubelskich „Bakcynaliach" w 1977 r otrzymałem nagrodę za interpretację tej piosenki.
Przede wszystkim bardzo niewielu bardom udało się wydać cokolwiek za komuny. Wyjątki można policzyć na palcach jednej ręki. Jeśli mnie pamięć nie myli, to płytę miała grupa Pod Budą, połowę jednej i tej samej kasety miał Janek Wołek i Wolna Grupa Bukowina, a w końcówce lat 80. ukazały się płyty Mirka Czyżykiewicza i Andrzeja Garczarka. Płyta Jacka Kaczmarskiego pt. „Krzyk" została wstrzymana przed rozpowszechnianiem. Ja w owym czasie również śpiewałem piosenki dość zaangażowane i przeciwstawiające się ówczesnej rzeczywistości społeczno-politycznej, miałem swój recital pokreślony przez cenzurę i nawet nie próbowałem startować gdziekolwiek z moimi propozycjami nagrania płyty. Potem wyjechałem do Francji i o pierwszej płycie zacząłem myśleć dopiero w 1995 roku. W rezultacie dwa lata później ukazały się „Obłoki". Po następnych pięciu latach „Rozmnażanie zer". Żyjąc i tworząc w normalnym, wolnym kraju pewnie miałbym już co najmniej trzy, a może cztery płyty... Jak już mówiłem wcześniej, nie piszę często, tylko wtedy, gdy czuję, że muszę coś powiedzieć. Jeżeli ktoś potrafi wydawać co roku nową płytę z dwunastoma piosenkami z własnym tekstem i własną muzyką i ma na to pieniądze i czas, to bardzo dobrze. Jeżeli jeszcze w dodatku są to same dobre piosenki, to już w ogóle chapeau bas!... Ja mam być może zbyt rozbudowany autokrytycyzm.
Ale po kolejnych sześciu latach gromadzenia materiału chciałbym wreszcie przystąpić do nagrania mojej trzeciej płyty.

Pan chyba nigdy nie chciał być rewolucjonistą, krzyczeć ze sceny o zmiany, jak choćby Jacek Kaczmarski? Pana piosenki są raczej liryczne niż buntownicze…

Na pewno nie chciałem być rewolucjonistą, ale zdarzało mi się (i to często) krzyczeć ze sceny. Ale było to w czasach, których wy, młodzi, na szczęście nie pamiętacie. Wspominałem już o moich interpretacjach „Obławy", ale miałem też sporo własnych piosenek, jak „Nie bój się", „Piosenka bez dedykacji", „Niepokój", „Taniec", „Piosenka dorastających", „Pokolenie". Poza tym uważam, że częściej można więcej przekazać innym sposobem wyrażania emocji, niż krzykiem. To jest oczywiście czasem dobre i skuteczne narzędzie, ale gdy się je zbyt często stosuje, ulega dewaluacji. Jak ktoś tylko krzyczy, to tak, jakby w ogóle nie krzyczał. Uważam, że trzeba różnicować nastroje i środki wyrazu. Miałem więc takie piosenki jak: „Bledszy odcień twarzy", „Sen nad doliną", „Wystarczy", „Polskie miesiące", „Piosenka z pogranicza", gdzie próbowałem poruszyć słuchacza, ale bez uciekania się do krzyku. Mówię tu oczywiście o latach 70. i 80. Te piosenki nie doczekały się nagrań studyjnych, ale można przeczytać ich teksty na mojej oficjalnej stronie www.piotrbakal.com Ale nie tak dawno, bo w 2006 r. napisałem i zaśpiewałem na OPPA piosenkę „Obudź się 2006", która znów jest jakimś wyrazem buntu. Chyba trafiłem w ówczesne nastroje publiczności, bo wygrała plebiscyt na najlepszą piosenkę premierową OPPA 2006.

Dwadzieścia, trzydzieści lat temu piosenka, ballada służyły bądź oderwaniu się od przytłaczającej zewsząd rzeczywistości PRL-u, bądź walce ze zniewalającym – również artystów – systemem. A dziś – czemu winna służyć piosenka? I ile wart jest jej przekaz pośród zniewolenia współczesności, zagubienia i zabiegania społeczeństwa?

Od razu trzeba zastrzec, że mówimy o pewnym specyficznym gatunku piosenki, a nie o piosence w ogóle, ani o utworach piosenkopodobnych, które są pozbawione melodii lub treści, a często i jednego i drugiego. Nazwijmy ten nasz gatunek piosenką autorską lub precyzyjniej - twórczością bardów. Rosjanie mówią na to „bardowskaja piesnia". Czemu winna służyć? Temu samemu, co zawsze, czyli być formą przekazu refleksji i emocji wywoływanej przez twórcę i odbieranej przez publiczność – to po pierwsze. Ta forma winna mieć wysoki walor literacki, ale jednocześnie wysoki poziom komunikatywności. Uważam, że jedno i drugie może i powinno iść w parze. Po trzecie, piosenka ta powinna odzwierciedlać świat osobistych przeżyć autora, jego relacji z innymi ludźmi, jego stosunek do rzeczywistości, zarówno tej najbliższej, otaczającej, jak i tej widzianej z dalszej perspektywy. A więc odzwierciedlać jego filozofię życia, jego poglądy na życie i świat: społeczne, religijne, inne – wszystkie te, które zdecyduje się ujawnić. Bard nie pracuje w rozrywce, jest reprezentantem prawdziwej sztuki, jak poeta, malarz, rzeźbiarz, kompozytor muzyki klasycznej, dramaturg itp. Jeśli nawet piosenki barda mają formę kabaretową, satyryczną, to nie tylko po to, by śmieszyć, ale także, by skłaniać do refleksji.

Jaka w związku z tym jest dziś rola śpiewającego poety – barda?

Tworzyć i śpiewać dobre, mądre piosenki... Źródło: (Bardziej) Kulturalna Strona Piotra Szauera